

JULIA

Na ognisko przyszło szesnaście osób. Oprócz mnie i Zygiego z Jastarni byli jeszcze Patryk i Nadia – nie znałam ich wcześniej.

Lubiłam obserwować, a potem swoje spostrzeżenia uwieczniać na papierze. Mając pędzel w ręku, mogłam namalować świat takim, jakim go czułam. To chyba w malarstwie podobało mi się najbardziej – zwracałam bieg rzeki, nie tłumacząc się, dlaczego to robię.

Słońce ospale zachodziło za horyzont, pozostawiając na niebie pastelowe odcienie różu.

– Ale zajebicie! – krzyknął Jacek, barczysty brunet w sportowej kurtce. Był najgłośniejszy i nieskrępowany. W jego stronę natarczywie spoglądała Natalia, filigranowa blondynka, ubrana zbyt lekko jak na wrześniowy wieczór.

– Twoi starzy muszą być kasiaści, jeśli stać ich na dom w takim miejscu! – wykrzyknął Patryk. Przy bardziej energicznych ruchach okulary zsuwały mu się z nosa.

Byłam ciekawa, co Zygi odpowie, bo w jego opowieściach pojawiali się raczej ciocia i wujek. Miałam jednak wrażenie, że nie chce o tym rozmawiać. Przy ognisku i w ogóle.

– Nie wiesz, że w towarzystwie nie gada się o kasie? – powiedziała.

– Ale ja tylko mówię, że zazdroszczę. – Patryk sięgnął po następną kielbasę i nabił ją na patyk.

Z przenośnego CD wydobywały się dźwięki szybkiej piosenki *All Around the World*. Jacek wyciągnął z plecaka puszkę piwa. Wrzawa, jaka zapanowała przy ognisku, sprawiła, że poczułam ekscytację związaną ze zmianami, bo przecież musiały one nadejść. Nowa szkoła, nowi ludzie, nowy Zygi...

– Zajumałem staremu. Ktoś chętny, bo mam tego więcej? – Wzniósł toast w stronę Natalii. Wyciągnął następną i podszedł do niej.

– Za nowe towarzystwo.

– Za nowe towarzystwo. – W spojrzeniu Natalii było coś odważnego i zaczepnego.

– Więc jak będzie, Natalii? – Jacek objął ją ramieniem.

– Z czym?

– Ze spotkaniem.

– Zależy kogo mam spotkać.

Jacek otworzył piwo, które wykipiało, pozostawiając na puszcze spienione ślady.

– Cholera! – krzyknął.

– Robi się ciekawie – szepnęłam do Zygiego.

– A to dopiero początek. – Mrugnął do mnie. Otulona ciepłem dochodzącym z ogniska, nie zauważyłam kiedy zapadł zmrok, a niebo zaszło chmurami. Fale coraz mocniej uderzały o brzeg, a mieszanina rozmów przeplatała się z głosem Patryka, który dzielnie śpiewał *I Am Blue*.

Zobaczyłam, że ktoś zmierza w naszym kierunku. Światło, dochodzące z lampionu, chwiało się na boki niczym statek niesiony falami. Podeszła do nas kobieta ubrana w jasne dżinsy i czerwoną kurtkę.

– Jak się bawicie? – zapytała.

Zygi spojrzał na nią gniewnie.

– Mamo, co tu robisz?

– Przyniosłam ci gitarę.

– Niepotrzebnie. Radzimy sobie bez twojej pomocy.

Podeszła do Zygiego i położyła futerał obok jego nóg.

Blask płomieni odbijał się na jej twarzy. Miała duże, niebieskie oczy, długie rzęsy. Z upięcia wysuwały się, naturalnie skręcone, kosmyki włosów, w tym samym ciepłym odcieniu co piegi na policzkach. Nastrojowe światło podkreślało jej nietuzinkową urodę. Była bardzo dziewczęca. Rozszerzyła usta w szerokim uśmiechu.

– Zygi świetnie gra.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli na niego. Nie wiem dlaczego, ale poczułam zażenowanie. Nie chciałam, żeby moja mama wkroczyła w sam środek imprezy. Czy o tym samym pomyślała reszta towarzystwa? Szczerze mu współczułam.

– Daj spokój! – Zygi podniósł się z prowizorycznej ławki.

Jacek schował za plecy puszkę niedopitego piwa, jakby dopiero teraz zauważył, że jest wśród nas jedno z rodziców. Słowa Patryka sprawiły, że się opamiętał.

– Zygi, nie daj się prosić!

Zygi pokręcił głową. Poczułam, jak ściska mnie w żołądku. Po tym wieczorze spodziewałam się wielu rzeczy. Przypuszczałam, że ktoś przyjdzie z alkoholem, być może nawet z trawką. Że ktoś będzie do kogoś kręcił, a impreza może skończyć się bójką. Nie przeszło mi jednak przez myśl, że poznam mamę Zygiego. Jej osoba owiana była tajemnicą, a milczenie Zygiego na jej temat podsycalo tylko moją ciekawość.

– Zygi! Zygi! Zygi!... – Patryk zaczął skandować.

Nie wiedziałam, że Zygi potrafi grać na gitarze. Nie wiedziałam, że jest podobny do mamy. Ogólnie nie wiedziałam o nim za wiele. Poczułam pustkę, którą zapragnęłam szybko czymś wypełnić.

– Ty to masz wycucie! – syknął Zygi w stronę mamy, ale chyba tylko ja usłyszałam te słowa. Otworzył futerał, wyciągnął gitarę i zaczął kręcić kluczami, próbując ją nastrój.

Szarpnął trzecią strunę i płynnym ruchem zrobił to samo z drugą i pierwszą. Delikatna melodia mieszała się z szumem morza. Gra na gitarze wyraźnie sprawiała mu przyjemność, chociaż miałam wrażenie, że myślami był daleko stąd. Nagle zmienił intensywność szarpnięć. Rozpoznałam w tej melodii tak często graną w radiu piosenkę *I Was Made For Lovin' You*. Zaczął śpiewać. Zaskoczył mnie jego zachrypnięty i mocny głos. Zygi uderzył mocniej w struny. Przy refrenie był pewniejszy siebie, chociaż nie odrywał wzroku od ogniska. Kiedy skończył, zapadła cisza.

– Zajebiście! – zawołał Jacek.

– To było świetne! – przytaknęła Natalia.

Mama przypatrywała się Zygiemu z dumą.

– Więc co śpiewamy? – zapytał Zygi, jakby chciał uciec od komplementów. – Znacie *Morskie opowieści*?

– *Kiedy rum zaszumi w głowie...* – Patryk zaczął śpiewać. Do niego dołączyli Jacek i Natalia.

Zygi uderzył w struny – popłynął czysty dźwięk. Jego palce poruszały się tak zwinnie, jakby nie miało znaczenia, w którym miejscu na gryfie je położy. Była w tym lekkość, której mu pozazdrościłam. Kiedy ja tworzyłam jakiś obraz, uruchamiałam wszystkie pokłady energii, żeby zobaczyć na papierze to, co zrodziło się w mojej głowie.

Zygi swoim głosem zdecydowanie odróżniał się od reszty.

Jego mama śpiewała razem z nami. Stała obok. Przysunęłam się bliżej Zygiego, żeby mogła usiąść. Nie zrobiła tego, chociaż było wystarczająco dużo miejsca. Podobnie jak Zygi, miała ciekawy głos – barwny i egzotyczny. Rytmicznie klaskała, poruszając się w takt szybkiej szanty.

– A gdzie macie jakiś rum? – zapytała i roześmiała się. Oślupieliśmy.

– Schowaliśmy. – Jacek wyrwał się z odpowiedzią.

– Dlaczego? Bawcie się, bo jeśli nie teraz, to kiedy?

Zdziwiła mnie ta odpowiedź. Moja mama nigdy nie wtopiłaby się w moje towarzystwo z taką lekkością. A może to dlatego, że mama Zygiego była dużo młodsza od niej? Wydawało mi się, że nie czuje dystansu ani dzielącej nas różnicy wieku. Było w niej coś młodzieżowego.

Zygi był niezadowolony, chociaż skrzętnie próbował to ukryć.

– Moja mama jest mistrzynią imprez, ale niestety już musi iść, prawda?

Mama usiadła obok mnie, jakby słowa Zygiego w ogóle nie zrobiły na niej wrażenia. Zaczęła śpiewać *Hiszpańskie dziewczyny*. Patryk dołączył do niej. Zygi energicznie uderzył w struny. Próbowałam przypomnieć sobie słowa, ale zdecydowanie byłam poza rytmem. To, co wydobywało się z moich ust, można było nazwać recytowaniem pod nosem, ale Zygi i jego mama czuli muzykę całymi sobą. Było między nimi coś nieuchwytnego, jakaś dynamiczna relacja. Porównałabym ją do pojawiających się iskier, które wybuchały wystrzelone z płomieni

ogniska – naturalny fajerwerk, który zawsze trwał zbyt krótko, żeby się nim cieszyć.

Kiedy skończyliśmy, kobieta podniosła się z ławki.

– Idę już. Nie będę wam przeszkadzać.

– Nie przeszkadza pani – powiedział Patryk. – Fajnie pani śpiewa.

– Dobra, dobra. Wiem, że impreza ze starymi to nie impreza – roześmiała się głośno. – Na zdrowie.

Dopiero wtedy zauważyłam, że przyniosła ze sobą puszkę piwa.

– Ma pani tego więcej? – zapytał Jacek.

– Nie, ale wy pewnie tak.

Zapadła cisza. Chyba nawet wyluzowany Jacek nie wiedział, co odpowiedzieć. Otworzyła puszkę.

– Wasze zdrowie! – zawołała.

– Mamo, idź już. – Zygi złapał za gryf gitary i wstał z ławki. – To moja impreza.

Podniosła lampion z piasku, upiła łyk piwa i zaczęła śpiewać *Starą latarnię*. Wycofywała się spokojnym krokiem, od czasu do czasu unosząc puszkę i lampion do góry – machała nimi w takt wyśpiewywanych słów. Wpatrywałam się w nią jak zahipnotyzowana. W jej sposobie bycia było coś oryginalnego, a pewnością siebie przyćmiewała nawet Jacka. Oddalała się, znikając w ciemności, i chociaż już jej nie widzieliśmy, jeszcze długo dochodził nas jej śpiew.

– Masz zajebistą mamę! – powiedział Jacek. – Też chciałbym mieć taki kontakt ze swoimi. Ale są sztywni jak na lekarza i prawniczkę przystało.

– Ona mogłaby być piosenkarką! – stwierdziła Natalia. – Czym się zajmuje?

Zygi zawahał się.

– Dużo podróżuje, występuje.

Pomyślałam, że skłamał.

– Kiedy usłyszałem twoje imię, pomyślałem, że twój starzy to niezłe sztywniaki. A tu taka niespodzianka! – dodał Jacek.

– Tak, mają duże poczucie humoru.

– Zagraj coś jeszcze, rozkręciłem się! – powiedział Patryk.
– Może *Gdzie ta keja?* To chyba wszyscy znają – zaproponowała Natalia.

Jacek dopił piwo i sięgnął po następne dwa. Jedno rzucił w naszą stronę.

– Zdrowie organizatora imprezy!

– Ile tego masz? Daj jedno! – domagał się Patryk.

Zygi podniósł puszkę z piasku i postawił ją między naszymi nogami.

– Chcesz? – zapytał.

– A ty nie pijesz?

– Dobrze się bawię bez alkoholu.

Miałam ochotę się napić, ale wystarczyło, że ojciec wracał do domu podchmielony. Poza tym nie chciałam, żeby Zygi pomyślał, że nie potrafię się bawić bez używek. Odmówiłam.

Przez resztę wieczoru rozmawialiśmy, a w przerwach śpiewaliśmy wygrywane przez Zygiego piosenki. Imponował mi tym, że wszystkie znał na pamięć. Towarzystwo mieszało się ze sobą, jakby każdy chciał sprawdzić, z kim będzie mieć do czynienia przez najbliższe miesiące. Większość ludzi wydawała mi się w porządku.

Kiedy impreza dobiegła końca i wszyscy się już rozeszli, Zygi zaproponował, że odprowadzi mnie do domu. Oświeślał nam drogę latarką, którą wyciągnął z kieszeni. Wiał lekki wiatr, niebo było zachmurzone, morze huczało w oddali – zwyczajna noc, więc dlaczego nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jest w tej chwili coś magicznego? Jakbyśmy cofnęli się w czasie, chociaż nie byliśmy już dziećmi. Zygi zaczął śpiewać piosenkę, której nigdy wcześniej nie słyszałam.

Idziemy wzdłuż spienionych fal

Sami, nikogo wokół nas.

Zatapiamy w piasku stopy swe.

Złap mnie za rękę, bo nie chcę utonąć,

Teraz już nie.

– Kim jestem? – pytasz mnie.

*A ja wiem tylko, że to dopiero początek,
Bo życie jak piosenka jest.
Czasem wesołym C-dur
A czasem w smutne e-moll zamienia się.
Powiedz mi, dziewczyno, jak będzie?
Czuję, że wiesz.
Czy stanę na szczycie?
Czy na dnie znajdę się?*

*Słony smak w ustach mam,
Choć słodczy pragnę mieć.
Z nich najgorsza jednak gorycz jest.
Jeśli miała leczyć, zepsuła mnie.
– Kim jesteś? – pytam cię...*

- Ładna – powiedziałam, kiedy skończył. – Co to?
- Zygi roześmiał się.
- Wymyśliłem to teraz.
- Jasne...
- Serio. – Zaczął znów śpiewać. W słowach pojawiały się imiona osób, które były na ognisku, ale teraz ten tekst był zabawny, zakrawał na parodię. Rozbawił mnie.
- Jesteś niezłym tekściarzem. Powinieneś to spisać.
- To tylko wygłupy.
- Podobają mi się te twórcze wygłupy. Ja nie potrafię malować karykatur.
- A zależy ci, żeby to robić?
- Nie bardzo.

Doszliśmy do drewnianych schodów. Weszliśmy na górę. Przeszliśmy wydmy i stanęliśmy przy ławce. Dom tonął w ciemnościach, a mimo to wyglądał bardzo majestatycznie.

- Zostawię tylko gitarę.

Przysiadłam na samotnej ławce. Wpatrywałam się w morze przypominające rozległą plamę czarnego tuszu. Gdyby na niebie były widoczne gwiazdy, a w wodzie odbijał się księżyc,

widok zapierałby dech w piersi. Tak jak widok mamy Zygiego, której uroda hipnotyzowała niczym syreni śpiew.

Kiedy Zygi wrócił, był podenerwowany, chociaż nie chciał tego po sobie pokazać. Zaciśnął usta, mięśnie na policzkach pulsowały w równych odstępach.

– Coś się stało? – zapytałam.

– Małe spięcie z mamą.

– Twoja mama wydaje się spoko.

– Naprawdę tak uważasz?

– A ty nie?

– Czasami sam już nie wiem.

– Starzy potrafią dać plamę, ale twoja mama jest w porządku.

Kiedy wyszliśmy na chodnik, gdzie latarnie dobrze oświetlały drogę, nie musieliśmy się już tak skupiać na każdym kroku, jednak oboje milczeliśmy. Zygi odezwał się pierwszy.

– Moja mama nie jest artystką. Pracuje w fabryce ciastek w Niemczech. – Popatrzył na swoje buty, tupnął.

– Na długo wyjeżdża?

– Różnie. Zwykle na kilka miesięcy. Przyzwyczailem się do tego.

– A twój ojciec?

Zygi schował rękę do kieszeni, lekko się przygarbił.

– Nie znam go.

– Próbowaleś go odszukać?

– Mama nie chce o nim mówić. Ciocia milczy jak zaklęta, a wujek powiedział mi tylko, że to dupek.

– Czasem nie rozumiem dorosłych. To znaczy, zwykle ich nie rozumiem. Dobrze, że my potrafimy się dogadać. – Szturchnęłam go w bok. Mięśnie na jego twarzy rozluźniły się, a ja się spięłam. To, że nie rozmawialiśmy o tym, co się kiedyś wydarzyło, nie oznaczało przecież, że tego nie było. Wiele razy próbowałam zapomnieć, jak wyglądał, kiedy podszedł do mnie na szkolnym korytarzu, z białym t-shirtem poskładanym w kostkę. Wtedy nie chciałam z nim rozmawiać i ta myśl była czarniejsza niż noc.

– Impreza chyba się udała – powiedział.

– Mam nadzieję, że to jeszcze powtórzymy.

– No i chyba mamy pierwszą klasową parę.
Zastygłam.
– Jacek i Natalia. Nie widziałaś, jak na nią leci?
Poczułam ukłucie w brzuchu. Nie mówił o nas. Zawsze miałam wybujałą wyobraźnię.
Doszliśmy do ogrodzenia otaczającego mój dom.
– Dzięki za imprezę, Zygi.
– Cieszę się, że znów spędzamy ze sobą więcej czasu.
– Tak. Ja też.
Włożyłam klucz do zamka. Zygi odszedł kilka kroków, odwrócił się w moją stronę.
– Julio, naprawdę smakował mi ten chlebek!
– Tylko to zapamiętasz z tego wieczoru?
Uśmiechnął się. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, jakbyśmy dostrzegli coś, czego wcześniej nie widzieliśmy.

ZYGI

Obudził mnie hałas. Otworzyłem oczy, zapatrzyłem się w sufit z wyklejonym fluorescencyjnym układem słonecznym i zacząłem zastanawiać, jaki jest dzień. Powoli wychodziłem z sennej nieświadomości, a rzeczywistość zaczynała układać się w niedzielny poranek. Ogarnęła mnie euforia, jakby nagle wszystko zaczęło przybierać odpowiedni kierunek. Miałem fajnych ludzi w klasie, wśród których nie czułem się jak odludek, nawet moja mama nie okazała się dla nich dziwna.

Wyszedłem z łóżka i rozsunałem zasłony. Niebo pokrywały gąbczaste, szare chmury, przez co plaża i morze wyglądały posępnie. Wziąłem gitarę i usiadłem na łóżku. Sięgnąłem po ołówkę i zeszyt oprawiony w brązową, skórzaną okładkę. Próbowałem przypomnieć sobie słowa piosenki, które śpiewałem Julii zeszłej nocy. Nastroiłem gitarę i zacząłem grać. Słowa same układały się w tekst. Już nie raz przekonałem się, że nie trudno przelać na papier to, co płynie z głębi serca.

W pokoju obok coś upadło z hukiem na podłogę. Zesztywniałem. Odłożyłem gitarę, włożyłem spodnie dresowe i wyszedłem na korytarz. Pchnąłem uchylone drzwi. Pokój tonął w półmroku, w środku panował zaduch. Włączyłem światło. Mama ubrana w białą koszulę nocną klęcząc zbierała resztki potłuczonej butelki, obok leżało przewrócone krzesło. Nawet na mnie nie spojrzała. Pochylała się nad szklanymi kawałkami, które od samego patrzenia na nie raniły do żywego.

– Dlaczego to robisz?

– Przewróciłam przez nieuwagę.

– Nie o to pytam. Dlaczego pijesz?

Mama wstała. Wsparała się o oparcie drugiego krzesła, usilnie próbując złapać równowagę.

– O co ci chodzi?! – wybełkotała.

Jej spocona i czerwona twarz była tak inna od tej, którą widziałem poprzedniego dnia. Jakbym patrzył na zupełnie obcą kobietę. Zaciśnąłem ręce w pięści.

– Jesteś pijana.

– Jesteś pijana! Jesteś pijana! Leć do Jadwigi, powiedz jej!

Machała ręką, na moment straciła równowagę. Złapała mocniej za oparcie, aż jej zbieleły kostki.

Żółć podeszła mi do gardła. Miałem wrażenie, że pokój się kurczy, a powietrze gęstnieje.

– Mamo...

– Teraz to „mamo”?! – Spojrzała na mnie błędnym wzrokiem, jakby wyskoczyła z kręcącej się karuzeli. – Wiecznie jesteś niezadowolony.

– A z czego mam się cieszyć?

– Po co przylazłeś?

– Bo myślałem, że coś ci się stało.

– Chciałbyś! – parsknęła.

– Wcale nie.

Tylko czasami wyobrażałem sobie, jakby to było, gdyby nie istniała. Za każdym razem karciłem się za te myśli i mówiłem sobie, że tak naprawdę chcę, żeby zniknął jej problem z alkoholem, nie ona.

– Żałujesz, że to Jadwiga nie jest twoją matką?! Ja nią jestem! Zapamiętaj to, gnojku!

– Więc dlaczego cię tu nie ma?!

– Ty durniu! Bo takie jest życie! Też wolałabym, żeby było inne.

„Beze mnie”, cisnęło mi się na usta. W końcu jeśli nie zasłaby w ciążę tak wcześniej, mogłaby ułożyć je sobie inaczej.

Mama zachwiała się. Przez moment myślałem, że upadnie. Nie ruszyłem się z miejsca, bo miałem wrażenie, że nogi wrosły mi w deski podłogi. Nagle poczułem się niepewnie, jak wtedy, kiedy pierwszy raz ciocia zabrała mnie na lodowisko. Jedyne, czego chciałem, to złapać się bandy.

– Przepraszam – powiedziała niewyraźnie. Spuściła głowę. Podszedłem do niej. Zaczęła szlochać. – Jesteś dla mnie wszystkim.

Objąłem ją i pomogłem usiąść na łóżku. Była taka krucha! A ja miałem ochotę nią potrząsnąć. Dlaczego nie potrafiła być dla mnie wsparciem?

Jako dziecko wyczekiwałem jej przyjazdu, a kiedy już miałem ją przy sobie, albo była pijana, albo na kacu i przesypiała dzień. Żałowałem, że nie spędzamy tego czasu razem. Miałem poczucie, że marnujemy te krótkie chwile. Ciocia mówiła wtedy, że mama źle się czuje i wierzyłem w zapewnienia, że to minie. Dlaczego nie minęło?

– Nienawidzisz mnie – wyszeptała.

– Przestań.

– Jestem nikim. On to wiedział i odszedł. Wszyscy ode mnie odchodzą.

Chciałem powiedzieć, że ja wciąż tu jestem i nigdzie się nie wybieram, ale stchórzyłem.

Kiedy byłem mały, widząc ją w takim stanie, zanosilem się od płaczu. Uciekałem do pokoju, kładłem się na łóżku i krzychałem do poduszki. Tak bardzo pragnąłem jej miłości! Nie mogłem zrozumieć, dlaczego kochała alkohol bardziej ode mnie, ale kiedy patrzyłem na swoje odbicie w lustrze, znajdowałem powody. Opuchnięta od płaczu i wykrzywiona w ohyd-

nym grymasie twarz sprawiała, że moje oczy robiły się małe i puste, jakby wygasło w nich życie. Wyglądałem tak samo żałośnie jak mama po alkoholowym upojeniu. Nienawidziłem siebie i swoich blizn. Nic dziwnego, że nikt w szkole nie chciał się ze mną przyjaźnić, a epitety typu „złamas” czy „debil” były codziennością, do której się przyzwyczaiłem. Nie broniłem się, tylko raz miałem odwagę krzyknąć z przerażenia.

Kiedy mama się upijała, schemat był zawsze ten sam. Cio-cia zabierała ją do łazienki i zatrzaskiwała przede mną drzwi. Po jakimś czasie przychodziła i odrywała mnie od poduszki. Obejmowała pulchnymi ramionami i trzymała tak długo, aż przestawałem płakać.

– Wszystko się poukłada – mówiła.

Wyrывałem się z jej ramion i kopałem coś, co akurat miałem pod nogami.

Jej oczy robiły się małe i smutne, wiedziałem, że ona też jest nieszczęśliwa.

Ułożyłem mamę w bezpiecznej pozycji. Gdybym ją zastał w takim stanie, pomyślałbym, że wszystko jest w porządku, że jest rodzicem, który w niedzielę odsypia ciężki tydzień. A tymczasem nie miałem pojęcia, jak ten tydzień wyglądał. Nie wiedziałem o niej niczego więcej od tego, co zaobserwowałem przez te kilka dni, kiedy była w Jastarni. A wynik był bolesny.

Wyszedłem, zostawiając otwarte drzwi. Za oknem wiatr przeczesał długie grzywy traw. Wróciłem do swojego pokoju. Zza książek wyciągnąłem zapisany zeszyt i przewertowałem go w poszukiwaniu listu. Wydarłem zapisaną stronę i schowałem do kieszeni.

Na dole ciocia, jak zwykle, od rana krzątała się w kuchni.

– O! Jesteś! – Uśmiechnęła się. Na ciemnych spodniach i fioletowej bluzce były widoczne ślady mąki. – Jak ognisko?

– Super.

– Więc skąd ten humor?

– Mama się upiła.

Nie musiałem nic więcej mówić. Wiedziałem, że ciocia pójdzie sprawdzić, czy wszystko w porządku. Tak samo jak byłem pewien, że spodziewała się takiego rozwoju wydarzeń. W końcu знаła mamę lepiej niż ja.

– Robię cynamonki – powiedziała cicho. Odwróciła się i zaczęła zagniatą porcję ciasta.

– Muszę się przejść.

Nie fatygowałem się, żeby założyć buty. Stanąłem na werandzie. Ciepły wiatr musnął moją twarz. Spojrzałem na bezbrzeżne morze, które swoim szumem zagłuszało moje myśli. Minąłem ławkę, wydmy i wszedłem na drewniane schody – jak zwykle ósmy stopień głośno zakrzypiał.

Na plaży nikogo nie było, ale to osamotnienie było niczym zacerpnięcie świeżego powietrza podczas nurkowania. Spojrzałem na niebieską łódkę zacumowaną na brzegu. A gdyby tak do niej wejść, wypłynąć w morze i już nigdy nie wrócić? Tak łatwo byłoby zapomnieć o wszystkim.

Ściągnąłem linę i zacząłem pchać łódkę w stronę wody. Miałem wrażenie, że wstąpiły we mnie nowe siły. Czuję się, jakbym brał udział w zawodach dla siłaczy, a od tej konkurencji zależała moja przyszłość.

Fale uderzyły o burtę. Wszedłem do środka, gdzie prócz koła ratunkowego wały się puszka po piwie, papierek po batoniku, butelka po winie. Zdążyłem się już przyzwyczaić, że spacerowicze traktują łódkę jak śmietnik.

Wiosłując, patrzyłem, jak oddalam się od brzegu. Ogarnęła mnie chęć, żeby już nigdy nie wracać. Włożyłem wiosła do środka i beztrząsco zaśłuchałem się w kojący szum fal. Wyciągnąłem z kieszeni list, który napisałem do mamy, kiedy miałem osiem lat.

Kohana, Mamo!

Wiem że nie mogłaś przyjechać na moje urodziny. Dziękuję za prezent. Bardzo mi się podoba. Skąd wiedziałaś że chciałem dostać piracki miecz?

Tęsknię za Tobą ale ciocia powiedziała że Ty też tęsknisz za mną.

*Kocham Cię,
Zygi.*

Nie wysłałem go, bo nie znałem adresu. Chciałem jej go wręczyć, kiedy się zobaczymy, ale nie było okazji.

Miecz kupiła mi ciocia – dowiedziałem się przypadkiem. I to na nią zezłościłem się, gdy odkryłem prawdę. Mama nie zaprzętała sobie głowy moimi urodzinami, poza tym jednym razem, kiedy wysłała mi dwa tomy *Dawida Copperfielda*. Jeszcze długo potem upewniałem się, czy były od niej.

Zadzwoiły mi w uszach słowa: „Jesteś dla mnie wszystkim”. Czyli czym? Przystanią w czasie sztormu? Mnie to nie wystarczało. Chciałem mieć mamę, która kochałaby mnie bezwarunkowo i mówiła mądrości, które z czasem miałyby dla mnie prawdziwą wartość. Której nie podobałoby się, że wracam do domu okopcony dymem z tytoniu i rozbawiony po zakrapianej imprezie. Nie kręciło mnie takie życie. A może powinno? Może tak jest łatwiej?

Bezkres morza mnie oszołomił. Poczułem się mały. W oddali mój dom tonął w objęciach sosnowego lasu i wydmy. Ten widok przypominał obrazki z ilustrowanych książek dla dzieci, które kiedyś czytała mi ciocia.

Na brzegu ktoś spacerował, ale gdybym zaczął tonąć, nie byłby w stanie mi pomóc. Ciocia nie pozwalała mi wypływać łódką, a wujek, popierając ją, opowiadał historie o tragicznych skutkach, jakie przynosi lekceważenie siły morza.

Przyjrzałem się jeszcze raz zapisanej kartce. Listy powinno się wysyłać, w końcu po to się je pisze! Zwinąłem go w rulon, włożyłem do butelki po winie, zakorkowałem ją i z rozмахem rzuciłem przed siebie. Z ulgą obserwowałem, jak znika mi z oczu.

Zacząłem przyglądać się postaci na plaży. Była zbyt daleko, żeby rozpoznać kto to. Chciałem, żeby to była mama.

Wyobraziłem sobie, że macha w moją stronę, wykrzykując: „Zygi, wybac mi! Zmienię się i już nigdy nie tknę alkoholu. Zobaczysz, że potrafię być dobrą matką!”.

Postać wskoczyła do wody. Zacząłem wiosłować w stronę brzegu, a postać z wolna się oddalała. Pomyślałem o tych wszystkich przestrobach, którymi zamęczała mnie ciocia: „Bałtyk jest niebezpieczny”, „Prądy morskie to śmiertelna pułapka”.

W uderzeniach wiosła zawibrował nerwowy rytm. Nagle postać zniknęła z pola widzenia. Napiąłem mocniej mięśnie i zacząłem energicznie wiosłować. Postać wynurzyła się i po chwili znów zniknęła pod wodą.

Chciałbym być na tyle odważny, żeby bez obaw zanurzyć się w tej głębinie, zostawić wszystko za sobą i wynurzyć się tylko po to, żeby zaczerpnąć powietrza. Tak jak ten ktoś. Wdech i wydech. Wdech i... Dlaczego postać się nie wynurza? Wstrzymałem oddech. Jeden, dwa, trzy... Rozglądałem się nerwowo. Dziesięć, jedenaście, dwanaście... Złapałem haust powietrza. Postać powinna się już wynurzyć. Utopi się i to jeszcze na moich oczach!

– Hej! – krzyknąłem. A jeśli to mama? Rozglądałem się i krzyczałem raz za razem. – Hej!

Strach zacisnął się na mojej szyi i puścił dopiero, gdy zobaczyłem, że postać wyłoniła się spod powierzchni i nerwowo macha rękami. Byłem niedaleko. Nie zważając na ból mięśni, zacząłem wiosłować jeszcze intensywniej. Podpłynąłem na tyle blisko, żeby móc rzucić tonącemu koło ratunkowe przywiązane do łódki. Chłopak w piankowym kostiumie kurczowo się go złapał.

Byliśmy już prawie przy brzegu i jeśli chwilę przedtem marzyłem, żeby znaleźć się od niego daleko, teraz chciałem poczuć stabilne, bezpieczne podłoże. Odwróciłem się, żeby sprawdzić, czy chłopak płynie za mną. Wyglądał na zmęczonego. Przebył duży dystans i z pewnością natykał się wody, która podrażniła jego krtani.

Kiedy dobiliśmy do plaży, wyskoczyłem z łódki i pociągnąłem za linę. Chłopak, niesiony falą, wpłynął na piasek jak półżywa, wyrośnięta foka. Zakaszał.

– Mogłeś utonąć! – krzyknąłem.

– Dzięki za troskę.

Niezdarnie wstał i podniósł głowę. Zdębiałem. Adam Nyceł we własnej osobie! Wpatrywał się we mnie bursztynowymi oczami, jakby próbował sobie przypomnieć, skąd mnie zna.

Ciemne włosy przykleiły mu się do twarzy, przez co wyglądał tak samo żałośnie, jak ja podczas pamiętnej wycieczki do Malborka. On miał to szczęście, że nikt prócz mnie nie był świadkiem jego porażki.

Wytarłem ręce o spodnie. Dobrze, że tym razem nie miałem na nich błota.

– No proszę, Bagienny we własnej osobie – odezwał się.

– Gdybym wiedział, że to ty, nie fatygowałbym się.

Adam otrzepał ręce z piasku. Był wyższy ode mnie i nawet jeśli chciałem teraz czuć nad nim jakąkolwiek przewagę, nie byłem w stanie. Mogłem go wyzwać, wyśmiać, przeklinać, ale chwila triumfu, którą wspominałbym bez końca, nic by nie zmieniła. Byłem nic nieznaczącym Zygim, a drwiące spojrzenie Adama tylko to potwierdzało. Wspomnienia, które próbowałem wymazać, wróciły jak żywe.

Poprzednia szkoła była dla mnie niczym obóz przetrwania. W ławce siedziałem z chłopakiem jeszcze ode mnie spokojniejszym. Kacper jękał się przy każdej odpowiedzi. Obydwaj byliśmy na straconych pozycjach i zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli się zaprzyjaźnimy, to zupełnie stracimy szansę na wyrwanie się z towarzyskiego marazmu. Tak więc siedzieliśmy obok siebie – on „Jakała”, ja Zygmunt – i w samotności trawiliśmy drwiny, którymi obdarzali nas rzekomi koledzy.

Pod koniec września pojechaliśmy na wycieczkę szkolną do Malborka. Nauczycielki zdecydowały się na ten wyjazd, mimo że padało od kilku dni. W autokarze jechali uczniowie dwóch klas.

Gdy dotarliśmy na miejsce, pogoda ze złej zmieniła się w jeszcze gorszą. Kierowca zaparkował i zaczęliśmy wychodzić z autokaru. Szliśmy wąskim przejściem między fotelami, deszcz bębnił o dach, a ja marzyłem, żeby znaleźć się w domu.

– Jakała, tylko idź szybciej niż wypowiadasz słowa! – powiedział ktoś z tyłu. Rozległy się salwy śmiechu.

Było mi szkoda Kacpra, ale co mogłem zrobić? Wiedziałem, że i dla mnie mają przygotowaną wiązkę epitetów.

Nie wszyscy wpadli na pomysł, żeby zabrać ze sobą parasole; zaczęliśmy biec w stronę zamku, łudząc się, że nie zmokniemy. Podłóże było grzaskie i przypominało czekoladowy budyni. Próbowiałem ominąć wielką kałużę, chociaż nie miało to za wiele sensu, bo adidasy zaczęły mi już przemakać. Kacper potknął się i szturchnął mnie w ramię. Straciłem równowagę i runąłem w błoto jak długi.

Wstałem oblepiony brązową breją, a grupa chłopaków miała z tego ubaw.

– Hej, ty! Potwór z bagien, tylko nam dziewczyn nie strasz! – Usłyszałem za plecami. Nie miałem odwagi się odwrócić.

– Zysi, nic ci nie jest? – Wychowawczyni podeszła do mnie.

– Potworny Zygmunt!

– Adamie Nyclu, jeszcze jedno słowo, a w dzienniku masz uwagę! – zagroziła druga nauczycielka.

Adam, przechodząc obok, omiótł mnie spojrzeniem. Jego brązowe oczy i włosy wydały mi się ciemniejsze od błota na moich džinsach. Mokre strąki przyklejały mu się do czoła, twarz wykrzywiała się od powstrzymywania śmiechu. Miałem ochotę rozkwasić jego bulwiasty nos.

I jeśli wtedy łudziłem się, że obydwie klasy zapomną o mojej przygodzie, to szybko przekonałem się, że Adam będzie regularnie o niej przypominał. Już następnego dnia, kiedy zauważył mnie na przerwie w szkole, wołał:

– Hej, Bagienny! Jak kąpiel w błocie? – Wianuszek osób, które go otaczały, wybuchnął gromkim śmiechem. Nienawidziłem go za to! Nienawidziłem całego kółka adoracji Adama Nycla! Nienawidziłem siebie.

Byłem i jestem nikim, więc jak mogę myśleć o sobie jak o bohaterze? Nie miałem ochoty rozmawiać z Adamem, ani teraz, ani nigdy. On zmienił szkołę, ja starałem się zmienić podejście do nowo poznanych ludzi.

Chciałem się odwrócić i odejść, kiedy Adam uniósł rękę, a ja odruchowo ścisnąłem dłoń w pięść i uderzyłem go w twarz.

– Pogrzało cię? – Przycisnął miejsce pod okiem. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że nie chciał mi przyłożyć, a poklepać mnie po ramieniu, przybić ze mną piątkę, wykonać jakiś koleżeński gest wdzięczności.

– Przepraszam, myślałem... – Pomasowałem kostki, które pulsowały jak rażone prądem.

– Lecz się!

Adam podniósł z piasku plecak i buty. Odwrócił się i nerwowym krokiem zmierzał ku wejściu.

Powinienem czuć się okropnie, ale tak nie było. Dobrze, że nie widział mojego uśmiechu satysfakcji. Należało mu się za każde przezwisko: „Bagienny”, „Głupek”, „Zygmunt to imię dla konia”, „Złamas”, „Nasza szkapa”. W końcu wyparowało to, co kotłowało się we mnie od rana. A może od wielu lat?

Gdyby ciocia o tym wiedziała, nie byłaby szczęśliwa. Ściągnęłaby brwi i pokręciła głową. Nie musiałyby nic mówić, ale wiedziałbym, że się na mnie zawiodła. Nie tak mnie wychowywała. „Bądź miły, grzeczny, uczynny i koleżeński, a zobaczysz, że będziesz mieć wielu przyjaciół.” Jak dotąd jej rady nie skutkowały. Mimo wszystko poczułem wyrzuty sumienia.

– Adam! Poczekaj! – Odwrócił się i uniósł środkowy palec.

Zacząłem biec w jego stronę. Kiedy go dogoniłem, zobaczyłem, że na zaczerwienionym policzku ma niewielkie ślady krwi.

– Powinieneś przyłożyć lód – powiedziałem.

– Spadaj!

– Mieszkam w tym domu. Przyniosę mrożonkę.

– Daruj sobie czułości! Jesteś świrem!

– Gdybym był świrem, przyglądałbym się, jak toniesz.

Jego twarz złagodniała.

– Trenowałem na Marsz Śledzia – wyjaśnił.

O Marszu Śledzia wiedziałem niewiele. Kilku śmiałków miało przejść Ryf Mew, z Kuźnicy do Rewy. Umożliwiła to znajdująca się tam płycizna. Myślałem jednak, że to tylko plotki.

– A ty co robiłeś w Łódce?

– Łowiłem śledzie.

Na twarzy Adama pojawił się nikły uśmiech. Odwróciłem się i poszedłem w kierunku domu. Kusiło mnie, żeby sprawdzić, czy nie idzie za mną. Dopiero kiedy dotarłem do schodów, spojrzałem w bok. Adam zmierzał w moją stronę. Nie czekałem na niego, wszedłem na wydmy.

W domu panowała żałobna cisza, która drażniła uszy. Jedynie unoszący się w powietrzu zapach ciasta świadczył o tym, że ktoś tu mieszkał. Otworzyłem zamrażarkę i wyciągnąłem paczkę groszku. Stałem przy oknie. Adam siedział na ławce. Pianka surfingowa, którą miał na sobie, nie podkreślała jego figury, ale pamiętałem ze szkoły, że jego umięśnione ciało było zawsze gotowe do radzenia sobie ze sportowymi wyzwaniem.

Rozłożył ramiona na oparciu i odrzucił głowę do tyłu. Wystawił twarz ku niebu, jakby zapragnął naładować się energią słoneczną, a przecież było pochmurno. Może jego świat rządził się innymi prawami?

Adam odwrócił się w stronę domu, a ja zrobiłem krok w tył, spieszący. Nie mógł zobaczyć, że mu się przyglądam, schowałem się za firanę kuchennego okna. Zawsze się ukrywałem, wtedy było bezpieczniej. Wziąłem z talerza dwie cynamonki i wyszedłem na zewnątrz.

Szum morza, krzyk mew i wiatr szeleszczący wśród drzew to dźwięki, które dobrze mi się kojarzyły, zupełnie inaczej niż towarzystwo Adama.

– Łap!

Przyłożył mrożonkę do oka. Usiadłem obok.

– Spokojnie tu.

– Tak, zwykle bywa tu spokojnie.

Dałem mu cynamonkę. Ugryzłem swoją. Deser ten zawsze bardzo mi smakował, a teraz każdy kęs rósł w ustach.